№ 8.

Warszawa, dnia 20 Lutego. 1864 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA, **w Warszawie** *kwartalnie* złp, 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

SŁOWIAŃSZCZYZNA

PÓŁNOCNO ZACHODNIA

Obraz historyczny z XII wieku.

(Dalszy ciąg.)

Na naradzie w Retrze Mistwoja z książętami Sławiańskiemi, znajdował się także i Mieczysław panujący nad Obotrytami i Wagirami, ów syn niemkini, siostry biskupa, a mimo tego szczególny zwolennik starego obyczaju słowiańskiego. Odstępstwem zatém Mistwoja od niemieckiéj sprawy, ucieszył się niewymownie, i natychmiast razem z nim zaczął narady i przygotowania do spodziewanego wkrótce boju.

Bernard, wiecksiążę Sasów, prawdziwy średniowieczny panek, tyran, zdzierca i feodalista, zaufany w siłę swych zbrojnych szeregów, nie myślący o niczém inném tylko o grabieży, mordach i najwyuzdańszych gwałtach, gardzący każdym, co się nie urodził na zamku niemieckiego książęcia, odtrąciwszy od siebie Mistwoja, i nie przypuszczając nawet krwawych jego zamiarów, zwrócił całą uwagę na cesarza Henryka II w celu nie tylko wydobycia się z pod jego przewagi, ale zniszczenia raz na zawsze potęgi zbyt mu niewygodnéj i zagrażającéj. Cesarz Henryk z orężem swym zwrócony był wówczas na Polskę, w któréj panujący Bolesław Chrobry, nie chciał przyznać najmniejszego nad sobą zwierzchnictwa cesarzowi, i zbrojną ręką odpychał wymierzane przeciw sobie napaści. Bernard więc zebrał wszystkie swe siły i ogołociwszy zupełnie kraj z wojska, cichaczem wyruszył przeciw Henrykowi.

Książęta Słowiańscy Mieczysław i Mistwoj na to tylko czekając, zebrali jakie tylko mogli zastępy ludu słowiańskiego, i rozwinąwszy je po całym prawym brzegu dolnéj Elby, zaczęli ciąć w pień księży, zakonników chrześcijańskich, burząc kościoły, klasztory i wszystkie osady rojące się cudzoziemskim ludem. Z upadkiem Hamburga z którego tylko kupa pozostała gruzów, na ziemi Sło-

wian nadelbańskich, nie został ani jeden kościół, a Słowianie składali korne modły w świętej Retrze starym obyczajem swych przodków, Zemście więc Mistwoja stanęło zadosyć, przezwany psem, jak przyrzekł pokąsał mocno, ostremi zębami, a Bernard nauczony doświadczeniem, schował z pokorą drapieżne pazury, żałując po niewczasie porywczości, co go pozbawiła tyle korzystnéj zdobyczy.

Lat potém kilkanaście nieprzerwana cisza zaległa ziemia nadelbańskich Słowian. Ale kilkanaście lat w życiu narodów, to tylko chwilka: po niejakim czasie Sasi, zawsze pod pozorem chrześcijaństwa, zaczęli się znowu wciskać do Słowiańszczyzny. Arcybiskup Unwan na ruinach starego Hamburga wznosząc nowe miasta, w Starogrodzie (w Oldenburgu) obsadził na biskupstwie Bennona, który chociaż od niemieckich kronikarzy, nazwany był człowiekiem wielkiéj pobożności, zaczął jednak swe rządy, nie od zaszczepiania chrześcijańskich cnót i świętych słów ewanielji, ale od wyszukiwania dawnych dochodów i posiadłości biskupich, które poszły zupełnie w zaniedbanie. Pokazuje się więc, że chrześcijaństwo nie wygasło zupełnie w Słowiańszczyznie, że juz było mocno ugruntowane w sercach krajowców, skoro zaprowadzanie biskupstw przyszło z taką łatwością bez żadnych poprzednich zdobyczy.

Gdy Bennon nie mógł sobie poradzić z uporczywemi Wagirami i Obotrytami, udał się z zażaleniem do Bernarda księcia saskiego, ale ten mądry przebytém doświadczeniem, zawezwał przedniejszych obywateli i zapytał ich, czemu biskupowi nie chcą opłacać przynależnéj mu dziesięciny. Słowianie poczęli wyliczać różne uciążliwe podatki, którym i tak już ulegają, a w końcu dodali że woleliby kraj nawet opuścić, jak do opłacania nowych danin być zmuszonemi. Bernard zwolnił Słowian z dawnych podatków i wymógł wreszcie z każdego dymu po dwa szelągi dla biskupa.

Mimo tego, biskup Bennon niezadowolony, zazdroszczący zdzierstw, jakich się Bernard z Sasami na Słowianach dopuszczał, które sami kronikarze niemieccy nazywają okrutnemi, niesłychanemi, z nowemi skargami wyruszył do cesarza Ottona. Ale Słowianie wydanego nakazu od cesarza nie usłuchali, a biskup ciągle jęczał, stękał, biedował, nie na trudności w rozszerzaniu chrześcjaństwa, ale na małe zyski i dochody. Umarł 1022 r.

Po śmierci Mieczysława objął władzę nad Wagirami i Obotrytami syn jego Przybigniew, którego jakiś Sas podstępnie w r. 1031 zamordował. Syn jego Godelskalk, zostający wówczas na nauce pomiędzy niemcami w Lüneburgu, uniesiony zemstą, wraca pomiędzy swoich i ogniem i mieczem pustoszy ziemię zachodniéj Wagirji czyli dzisiejszego Holsztynu, zamieszkałą przez ludy saskie Sturmarów, Tetmarów i Holsatów. Bernard książę saski idzie w pomoc swoim pobratymcom, ale Godelskalk obcém wychowaniem popsuty, uniesiony skruchą, porozumiewa się z nieprzyjaciołmi i choć uchwycony przez Bernarda i okuty w kajdany, wypuszczony jednak na wolność, udaje się do Kanuta króla Danji, żeni się z jego córką, i potém przez lat kilka ciągle przebywa w Anglji.

Wróciwszy do kraju w r. 1036 z żoną, zabrał się nadzwyczaj czynnie do wprowadzenia na nowo wyplenionego już chrześcijaństwa. Na zgliszczach więc popalonych kościołów i klasztorów, zaczęły się wznosić nowe mury, lud chrzczono gromadami, nie tylko pomiędzy Wagirami i Obotrytami, ale i Kicinami, Nadpianianami i Doleńcami, gdzie zaś kaznodzieje niemieccy, w mowie swojéj nauczając z ambon, przez lud byli niezrozumieni lub co gorsza wyśmiewani, tam uniesiony gorliwością Godeskalk sam wstępował na kazalnicę, i w mowie narodowéj objaśniał naukę chrześcjańską.

Tą drogą postępując, chrześcijaństwo byłoby wprędce zakorzeniło się w całéj Słowiańszczyznie, ale między ludami jéj wszczęły się niesnaski, w których pokonani Retrzanie i Doleńcy, wezwali wpomoc króla duńskiego Kanuta, księcia Wagirów Godeskalka i Bernarda z Sasami. Ponieważ Nadpianianie i Kicynowie, nie mogli się oprzéć tak groźnéj sile, znając nienasyconą chciwość Bernarda, ofiarą 15,000 mark, okupili sobie pokój u niego, skutkiem którego dwaj drudzy jego sprzymierzeńcy, zaprzestali wojny nie odniósłszy z niéj żadnéj korzyści.

Helmold opowiadając to dodaje, że przy zawieraniu tych układów, o chrześcijaństwie nie było ani wzmianki, a nawet nie oddano czci Bogu, który im dał przecieć w wojnie zwycięztwo. Potém mówi daléj, można poznać nienasyconą chciwość Sasów którzy zawsze najwięcéj tego pragną aby sobie haracz, aniżeli chrześcijaństwu dusze pozyskać.

Postępowanie też takie wstręt do nich coraz bardziéj między Słowianami musiało obudzać.

Tajemnie zatém znowu, rozpoczęły się przygotowania do mającego wkrótce nastąpić boju, a obwiniając Godeskalka o wszystkie nieszczęścia, jakie im dolegały, z niechęcią obrócili się przeciw niemu.

Zemsta naprzód dotknęła cały ród znienawidzonego Godeskalka, i wszystkich księży z różnych stron przez niego pościąganych. Wymordowano

ich bez żadnéj litości, spalono Hamburg, Heidibo czyli Szlezwig dzisiejszy, i wypędzono żonę Godeskalka rodem Dunkę z dwoma synami Henrykiem i Butem. W celu zaś przebłagania zaniedbanego w świętéj Retrze Radegasta, na cześć jego ścięto biskupa starogrodzkiego Jana, rodem Szkota, szczególniéj gorliwego w prześladowaniu i gnębieniu Słowian.

W końcu roku 1066, Sasów wyrzucono za Elbę, albo wyparto na zachód Wagirji, ale na nieszczęście razem z chrześcijaństwem.

Po załatwieniu w ten sposób sprawy, na panującego księcia Wagirów i Obotrytów wyniesiony został Kruk syn Gryna, a synowie Godeskalka udali się do Sasów i Duńczyków szukać dla siebie opieki. W jednéj z takich uzyskanych pomocy zginął Bute syn Godeskalka, a Kruk pragnąc ukarać ludy saskie Tetmarsów, Holzatów i Sturmarów, za uczestniczenie w wyprawie Butego, wtargnął w ich kraj, i zmusił do płacenia daniny, co dotąd tylko Słowianie niemcom uskuteczniali.

Od czasu do czasu, jednak ponawiały się napaści na ziemie nadelbańskie; już to w interesie pognębionego jakoby chrześcijaństwa, już to w chęci odzyskania dziedzictwa dla wypędzonego syna Godeskalka Henryka, przebywającego w Danji, ale Kruk odpierał je z nadzwyczajném męztwem i roztropnością, ta jednak pomyślność ze śmiercią Kruka, zamordowanego zdradziecko przez Duńczyka nasadzonego od Henryka, ustała już niestety bezpowrotnie. Do rządu więc kraju dostał się upadły pretendent, a niedowierzając własnym ziomkom, stał się naprzód uniżonym sługą Duńczyków Sasów, zmusił ludy swoje do płacenia im haraczu, i potém przymusem zaczął na nowo wprowadzać chrześcijaństwo.

Oburzeni Słowianie nowo wprowadzonemi opłatami powstali Henryk zagrożony tym ruchem, zawezwał pomocy swych sprzymierzeńców i pobiwszy przeciwników na Smiłowem Polu, obrócił potém oręż na inne ludy, i zadając im klęskę po klęsce, w r. 1121 stał się panem nie tylko Wagirów i Obotrytów, ale nawet Ranian, Połabów, Kicinów, Nadpianian, Lutyków, Pomorzan, Stadoranów, Brzezanów, słowem wszystkich ludów składających Słowiańszczyznę nadelbańską.

Helmold uniesiony czcią uwielbienia dla czynów Henryka, słusznie nazywa go królem Słowian,

W Polsce panował wówczas Bolesław zwany wielkim a przez wieki potomne Chrobrym. On to dzielnością swego oręża, posunąwszy granice aż po Dunaj i Cissę, w czasie wojny z cesarzem Henrykiem II, zawojowawszy Czechy, Morawy, Łużacją, Miśnią, i zdobywszy Kijów, był właściwym sprzymierzeńcem dla Henryka, jako panujący z nim nad jednoplemiennemi ludami. Złączone z czasem zirmie ciągnące się od Dunaju aż po Bałtyk i Ejderę, byłyby się zlały w jedną całość. Ale Henryk nie rozumiał związku z Bolesławem wielkim, który widać że zachodnim swym sąsiadom dobrze dawał się we znaki, kiedy go na urągowisko przezwali *piwoszem* (Trienkbier).

Tytularny ów król Słowian umarł r. 1126 i natychmiast rozpoczęły się domowe między pozostałemi synami niesnaski, dążące do rozerwania jedności sztucznie połączonych z sobą ludów.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

Po kilkodniowych zapustach, Paryż dziś posypał się popiołem, i rozpoczął jeśli nie skupione, to przynajmniéj spokojniejsze i mniéj hałaśliwe życie. Od nowego roku miasto szamotało się w bezustannéj gorączce, a sam widok konwulsyjnych jego ruchów, w przykry sposób oddziaływał; na tych, którzy byli ich milczącemi świadkami.

Nie będę wam opisywała zabaw paryzkich, raz żem ich z bliska nie widziała, a potém kogóżby to obchodzić u nas mogło? Wspomnę tylko o noworocznych kolendach, gdyż te zachowały wybitny charakter narodowości, a tém samém przedstawiają stronę ciekawą. Trzeba wiedzieć, że nowy rok najważniejszą jest epoką w życiu lekkich i wesołych Paryżanów. W tym dniu odbywa się prawdziwa zamiana, wszyscy dają i odbierają nawzajem upominki, nie tylko dzieci od rodziców, krewni od krewnych i przyjaciele od przyjaciół, ale nawet osoby związane z sobą słabym węzłem stosunków towarzyskich. Cesarz rozdaje w dniu tym wyższe stopnie wojsku, a order legji honorowéj tym wszystkim, którzy na jakiejkolwiek drodze zasłużyli się dobrze krajowi. Panowie obdarzają domowników pieniędzmi, stosownie do zamożności, mężowie ofiarują żonom nowe pojazdy, szale i koronki, rodzice sprawiają dorosłym córkom suknie i kapelusze, małe dzieci obsypują zabawkami. Przyjaciele i znajomi do każdego domu, gdzie bywają w ciągu roku, przysyłają kwiaty i cukry, inaczéj obwinionoby ich o zupełną nieznajomość świata.

Przez cały Grudzień widać już czynione przygotowania do kolendy, kupcy wystrajają sklepy

w tysiące zbytkowych przedmiotów; gazety ogłaszają rozliczne doniesienia, księgarze wydają kolendowe albumy i dzieła, dla dorosłych i małych dzieci. Cukiernicy przygotowują miljony pudełek z cukierkami, zacząwszy od skromnych za franka, aż do oklejonych aksamitem, strojnych w złoto, kwiaty, koronki i drogie kamienie.

Jakby nie dość było sklepów w Paryżu, na tydzień przed nowym rokiem, wzdłuż wszystkich bulwarów, przemysłowcy stawiają dwoma rzędami budki drewniane, w których sprzedają zabawki, cukierki, pomarańcze, hafty, słowem niezliczona przedmioty stosowne na kolendę. Słyszałam, że liczba takich budek dochodzi do 80;000; właściciel każdéj z nich opłaca miastu po dwa franki dziennie, a że budki stoją do dwóch tygodni, można sobie wyobrazić, ile Paryż zyskuje na tém. Tłumy osób wszelkiego stanu snują się wciąż na bulwarach, zaglądając do każdéj budki; kupujących widać wielkie mnóstwo, ciekawych i bezczynnych jeszcze więcéj. W tym roku jednak nie zupełnie się powiodło właścicielom tych ruchomych sklepików, w nowy rok bowiem okropna była słota; nazajutrz zaś uchwycił mróz, trzeba było budki posprzątać. Co gorsza zabobonni Paryżanie, pod niemiłém wrażeniem przebyli uroczystość noworoczną, a przez to samo mniéj hojnemi byli, niż zwykle. Pierwszy dzień roku przypadł niestety w Piątek! Francuzi uważają to za złą wróżbę, opierając się na historji, dowodzą, że wszystkie lata, które się zaczynały od dnia tego, nie przeszły zwyczajnym trybem, ale naznaczone były głodem, morem lub wojną. Odważniejsi jednak pocieszają się, że rok ma trzy liczby parzyste, gdyby więc jak mówią jakaś przygoda wytrąciła kraj ze zwyczajnego trybu, nie obróci się to na ich szkodę.

Mróz téj zimy bardzo dokuczył Francuzom, w ciągu kilku dni dochodził do sześciu, raz nawet do dziewięciu stopni. I my mieszkańcy z po nad Wisły lubo przyzwyczajenie do większego nierównie zimna, dotkliwieśmy go czuli, gdyż mieszkania tutejsze w ogólności źle opatrzone. Okien podwójnych zupełnie tu nie znają, zamiast pieców są tylko kominki bez zasuwanéj blachy, które dopóty grzeją, póki ogień na nich połyska. Przytém zwyczaj miejscowy koniecznia wymaga, aby okna w mieszkaniu były codziennie otwierane. Żaden służący nie wyprzątnie inaczéj pokoju, oblepienie okien uważanoby tu za dowód barbarzyństwa, gdyż świeże powietrze jest w mniemaniu Francuzów najpierwszym dla zdrowia warunkiem. Przy wątłéj budowie kobiet tutejszych trzeba téż w istocie podziwiać ich wytrwałość. Oprócz cudzoziemek. nie zdarzyło mi się spotkać w futrze żadnéj Paryżanki. Co najwięcéj jeśli która ma kołnierz i mufek futrzany, lub paletot obłożony zwierzchu futerkiem, a kiedy my mieszkanki północy kulimy się od zimna, Francuzki wychodzą na ulicę, odziane po prostu szalem albo lekką watowaną okrywką.

Paryż dnia 12 Lutego 1864 r.

---

* * *

Kiedy u nas mrozy niewiele dokuczliwe, przedziela od siebie dwutygodniowa odwilż, czasami deszczyk jakoby wiosenny, czasem śnieg a ani razu burza i zawieja śniegowa, co to w polu obłąkiwa, a w mieście na skrętach ulicznych szamoce przewraca; w Paryżu dosyć skarżą się na zimno, a w Wenecji płaczą na dokuczliwy mróz, jakiego od roku 1788 nikt nie pamięta. Dawniéj kanały stanowiące ulice Wenecji, tylko się roiły uwijającemi się po nich gondolami; gwar, spiew, wołanie łączyły się w jeden szum hałaśliwy, świadczący niejako o życiu mieszkańców i ich ruchliwości; dziś laguny zastygły pod skorupą lodu, gondole nieruchomie zalegają przybrzeża, a massy przechodniów śmiało depczą powierzchnie uciszonéj fali, udając się pieszo po lodzie od Camaregio, do Mestre i od Murano do Fundamente Nuove. Kilku nawet młodych ludzi, a raczéj rozswawolonych zbytników, chcąc się popisać z ekscentrycznym figielkiem, kazało przyrządzić wieczerzę na lodzie, i szczękając zębami, kuląc się i otulając szalami, wznosiło wiwaty na cześć mrozu, co zostawił w spokojności rozdelikatnione ich nosy, uszy i policzki.

Ciekawym bardzo, co téż w czasie tego tyrańtstwe zimy, robiły owe sławne gołąbki weneckie, znane wszystkim podróżnikom, unoszące się w liczném stadzie po nad miastem? Warszawa równie chlubi się podobną własnością; posiada ich pewno ze czterdzieści par, które niczyją nie będąc własnością, lęgnąc się w gzymsach i załamkach teatralnego gmachu, żywią się okruchami obroku i chleba, pozostawionemi na placu ratuszowym przez włościan codziennie na targ z drzewem przybywających. Wolne, swobodne, oswojone z ludźmi i końmi, swarząc się często o małe ziarenko pokarmu, napuszone, poważne przemykają się bez trwogi pomiędzy wozami i kopytami, i nadziawszy gardziołka, ufne w wartkie swe skrzydła, zabezpie-

czające je od niebezpiecznéj znajomości z rożnem i garnkiem, wznoszą się potém w całéj gromadzie po nad rodzinne swe siedlisko, i bujają tak ochoczo i radośnie, z taką wesołością trzepoczą skrzydełkami, lub rozpuszczają je nieruchomie na powietrzne fale, że często zazdroszczę im doli, i żałuję że nie jestem ich bratem i towarzyszem.

Ptaszyny te, choć tak szczęśliwe i bezpieczne, mają jednak chwile przykréj niedoli, zwykle zdarzające się w święta najuroczystsze, w których na korzyść moralności włościan, ustaje gwar handlowy, place stoją pustkami, a Świątynie Pańskie szemrzą modlitwą, natłoczonego w nich ludu. Wtenczas gołąbki głodem znękane, smutne zakłopotane, obsiadają rzędami gzymsy teatralnego gmachu, i napuszywszy się albo wpadają w senną zadumę, albo ciekawie spoglądają na przesuwających się przechodniów, wyglądając zapewne dobroczynnéj ręki, coby im choć garsteczkę rzuciła pokarmu. Ale tłumy przechodzą, zaledwie spojrzawszy na wygłodzonych biedaków, i gołąbki na suchotach przepędzają dzień, zwykle zbytkownie trawiony przez ludzi.

Tak to dola na świecie miesza się z niedolą, o ptaszynach zaś tych dlatego tak rozpisałem się, że lubownictwo ich nie tylko w Warszawie, ale po całym świecie bardzo jest rozszerzone, czego najlepiéj świadczy urządzona wystawa w Londynie z samych gołębi, których parę płacono najmniéj po franków 25, bardzo wiele zakupiono po fr. 250 i 350, a niektóre nawet nabyte były po fr. 500. Ciekawym, jakby oszacowano nasze warszawskie gołąbki, wychodowane o własnych siłach i staraniu, bez klatki, bez sztucznie usłanego gniazdka, żywiących się własnym przemysłem, czasem Opatrznością Boską, niekiedy przysuwających się do ręki z ziarnem wysuniętéj z lufcika pod filarami, a zawsze ostrożnych i nieufających zbytecznie braterstwu z człowiekiem. O! mądre to ptaszki, kiedy znają że pieszczota często zdradę osłania.

Ale zostawiwszy gołąbki ich własnemu losowi, z którym im bardzo dobrze i wygodnie, powiem Wam słówko, o kassach pożyczkowych na słowo, dla niezamożnéj ludności urządzonych rok temu czy więcéj, przez Towarzystwo Dobroczynności w Warszawie.

Pomysł ten tak piękny, szlachetny, zarówno wspierający materjalnie, jak podnoszący moralnie, w zastosowaniu pokazał się niepraktycznym, tak dalece, że niektóre z nich będą podobno musiały być zamkniętemi. Sprawozdawca jednéj z Gazet przyczynę tego widzi w braku wykształcenia moralnego i umysłowego klassy rzemieślniczéj, uważającéj pożyczkę na słowo, za rodzaj jakiegoś datku, którego zwrotu żądają tylko pro forma.

Że kassy te dobroczynne bliskie są bankructwa, to pewna, że powodem tego, nie jest lekceważenie honorowego przyrzeczenia, ale powszechna stagnacja w pracy i zarobku, która nie każdemu dozwala zapracować nawet na wyżywienie. Zkąd więc tu wziąć na oddanie długu, kiedy dzieci płaczą z głodu, drżą od zimna, a zysk z pracy na codzienne nawet nie wystarcza wydaki? Być może, że między pożyczającemi, znaleźli się szczególni szachraje i nierzetelni, ale o ogóle powiedzieć tego nie można, i niech tylko zmieni się stan rzeczy, a pewny jestem, że z nader małą stratą, zwrot pożyczek nastąpi. Gdyby zaś okazało się najmniejsze wachanie, czego jednak zupełnie nie spodziewam się, jedno słowo z kazalnic powiedziane zwróci winnych na drogę obowiązku i sumienia.

Że danemu słowu tyle przyznaję wartości, nie robię to bez pewnéj zasady. Znam bowiem sam kilka osobistości, dla których umowę piśmienną złamać, podejść, oszukać, nie dotrzymać, wydrwić, wykpić, jest nie tylko chlebem zwyczajnym, ale nawet pewnym rodzajem tryumfu, z którym bez ogródki przechwalają się przed każdym. Gdy jednak świadomy rzeczy, na rękojmię dotrzymania zobowiązania nie wdaje się w żadne piśmienne umowy, ale po prostu żąda od nich przyrzeczenia słownego, i jegomość taki rzeknie np. jakem hrabia albo jakem szlachcic! tak pod słowem dotrzymam co przyrzekam, wówczas można śmiało poledz na nim jak na Zawiszy, i na pewno nie zawiedzie położonego w sobie zaufania.

Mody zagraniczne.

Przy teraźniejszéj długości i szerokości sukni, garnirunek u dołu koniecznie jest potrzebny wyjąwszy do sukien z ciężkiéj jedwabnéj materji, które obejmują po prostu aksamitnym rulonem, lub fałdowaną wązką wstążeczką zwaną *tuyauté*. Zwyczajny garnirunek, stanowi naszycie aksamitka, gładko lub w gzygzak, albo też plisa jedwabna podniesiona na każdym brzegu, i tworząca słupek dosyć wysoki. Suknie lekkie jedwabne, lub kamlotowe, przybierają zwykle dwoma lub trzema falbankami. Uważaliśmy oprócz tego wiele sukien. zakończonych po prostu pliską, szerokości jednego cala.

Na szwie każdego bryta, idą takież same pliski aż do stanu. Do czarnych sukien ładnie wyglą-

dają pliski fijołkowe lub szafirowe. Stanik zazwyczaj postyljoński z baskiną, odpowiednio bywa oznaczony. Rękawy ścięte do łokcia i prawie obcisłe mają naramienniki i mankiety, przybrane takiemiż pliskami.

Do codziennego ubrania podobała nam się suknia czarna rypsowa naszyta u dołu falbaneczką, układaną w drobne fałdy, z fijołkową wełnianą wypustką, nad falbaneczką szło pięć rzędów wełnianéj tasiemki fijołkowéj, szerokiéj na palec. Stanik z kaftanikiem i baskiną w tyle, odpowiednio był oznaczony. Zamiast kieszonek, spadała na bok torebka z pasmanterji wełnianéj, na fijołkowém podwleczeniu.

Szlafroki na rano kaszmirowe kuliste, na podszewce powszechnie używane. Bywają one zwykłe przyfałdowane do karczka, tak z przodu jak i z tyłu, w pasie przewiązane szarfą albo sznurami. Niektóre z nich mają otwarte przody, obłożone pikowaną materją, w takim razie potrzebna pod spód biała spódniczka z dwoma rurkowanemi falbankami.

Inne szlafroczki spinają się na rzęd aksamitnych lub szmuklerskich guzików.

Widzieliśmy jeden bardzo ładny, czarny kaszmirowy, obszyty u dołu falbaneczką na dwa palce, z popeliny fijołkowéj w czarną kratkę, falbanka ta odwracała się z przodu po jednéj stronie. Za nią szedł rzęd guzików, powleczonych takąż popeliną. Mała czworograniasta pelerynka obszyta falbaneczką, dopełniała ozdoby. W pasie szlafrok przewiązany był szeroką szarfą czarną, z fijołkową wypustką do koła i falbanką u dołu.

Jako nowość zwróciły uwagę naszą, garybaldki czarne aksamitne wszyte w karczek szamerowane sznureczkami, lub przybrane pasmanterją. Rękawy u nich nie zbyt szerokie, obciśnięte paskiem u ręki. Koszulki takie robią i z półaksamitu.

Na ulicy widać tu nierównie więcéj paletotów niżeli innych okrywek. Najwięcéj używane aksamitne, jedwabne watowane lub z wełnianego *velours*. Niektóre ubierane z przodu pasmanterją, inne mają tylko naramienniki szmuklerskie i takież klapki na rękawach. W ogólności kobiety z prawdziwie dobrym gustem, unikają wszelkiego zbytku w ozdobach. Uważaliśmy także rotondy aksamitne, z szerokim wolantem *poult de soie*, lecz te właściwe jedynie dla bardzo szczupłych osób.

Małe dziewczynki ubierają w paletociki prawie zupełnie wcięte do figury, zwane Polkami. Przody u nich szamerowane pletnią w drabinkę, spięte na baryłki. Plecy oznaczone pletnią i kwaścikami. Polka ciemno fijołkowa, lub granatowa, szamerowana czarno, bardzo ładnie wygląda, na młodéj panieneczce.

Starsze osoby ubierają się do pokoju w krótkie paletociki, wyszywane pletnią na przodach i rękawach. Paletociki takie fijołkowe sukienne lub popielate z czarnym wyszyciem, bardzo ładnie wyglądają. Zwróciły też uwagę naszą, kaftany marynarskie, białe lub jasno popielate, z ciepłéj tkaniny, obszyte w koło szeroką czarną pletnią. Po bokach idą podłużne stalowe guziki, przyszyte na kwadracikach aksamitnych. Guziki te nie służą do zapięcia lecz tylko do ozdoby. Kaftanik marynarski ma zwykle odwinięty kołnierz, i wyłożone klapki po bokach. Inne kaftaniki tegoż samego kształtu, obszyte są dwa razy pletnią, pomiędzy tém spadają rzędem czarne szmuklerskie guziki w kształcie gruszeczek.

Młode panienki noszą powszechnie paski szwajcarskie z odwróconym bawetem, obszyte ruszką lub pasmanterją, na muszlinowéj lub białéj fularowéj koszulce. Na to idzie kaftanik grecki z mocno zaokrąglonemi przodami.

Nowości Zagraniczne.

Le follet. Z sukien któreśmy w tych czasach widzieli podobała nam się czarna alpagowa, objęta u dołu pliską fijołkową jedwabną na dwa palce. Nad tém szły klapki z téjże saméj alpagi jak suknia, objęte wkoło wypustką fijołkową, naszyte w drabinkę do koła sukni. Klapki te miały z przodu przeszło pół łokcia wysokości, z tyłu zaś zniżone były o połowę. Stanik przybrany z przodu klapkami, spinał się na fijałkowe jedwąbne guziki. Rękawy ścięte od łokcia, zakończone były takiemiż klapami u ramienia i u ręki.

Inna suknia kulista (*Gabrjela*) z popeliny czarnéj wełnianéj, obszyta była nad obrębem aksamitką fijołkową, z pod któréj wychodziły grelotki czyli kulki sznelowe, tegoż koloru. Plecy kończyły się baskiną, przybraną odpowiednio. Przód sukni od góry aż do ziemi, spięty był na guziki aksamitne fijołkowe. Rękawy otwarte cokolwiek u ręki odpowiednio były przybrane.

Dla małéj dziewczynki uważaliśmy ładną sukienkę szafirową, z popeliny wełnianéj. U dołu ogarnirowana była aksamitką czarną w drobne fałdki nad tem szła naszyta pięć razy wąziuchna aksamitka. Stanik wycięty miał pelerynkę stosownie ogarnirowaną.

Inna sukienka popielata wełniana, objęta była u dołu plisą czarną jedwabną. Po obu stronach tejże plisy szła wązka nafałdowana wstążeczka, miejsce stanika zastępował czarny pas szwajcarski z szelkami, ogarnirowany także wstążeczką na białéj muszlinowéj koszulce, układanéj w zakładki.

Dla trzyletniego chłopczyka, podobała nam się sukienka rypsowa, koloru Hawanna, złożona z osobnéj spódniczki obszytéj kilka razy czarną aksamitką i z takiegoż kaftaniczka spiętego na czarne guziki.

Opis Bielizny, Staników i różnych drobiazgów.

N. 1 Spódnica z popielatéj alpagi ubrana u dołu fałdowaną falbaną i czarną aksamitką.

N. 2 Suknia z fijołkowego fularu wełnianego. Kaftanik krótki *Figaro* naszyty wstawką czarną koronkową i wązką falbaneczką jedwabną. Takież samo ubranie u dołu spódnicy, która jest wszyta w pasek z tyłu bez żadnego bawetu. Na sukniach czarnych podwleczenie pod wstawkę daje się z fijołkowéj lub szafirowéj wstążki.

N. 3 Koszula ozdobiona przy wykroju wstawką i falbanką haftowaną lub walansienką.

N. 4 Koszula webowa przymarszczona do bufki półbatystowéj z paseczkiem haftowanym.

N. 5 Penioar biały perkalowy wyszyty sutaszem.

N. 6 Penioar z wełnianego wyrobu wyszyty sutaszem albo wązką aksamitką.

N. 7 i 8 Palto sukienne wpadające do figury ubrane barankiem albo kasztankami.

N. 9 Kaftanik do sukni wełnianéj naszyty taśmą szmuklerską, pod spód kamizelka z materjału sukni.

N. 10 Kołnierzyk płócienny ozdobiony wstawką i koronką.

N. 11 Kaftanik ranny z białego żaknotu. Karczek z przodu uszyty w zakładki i zakończony falbanką. Plecy są gładkie jednostajne bez karczka.

N. 12 Kołnierzyk płócienny garnirowany szeroką na trzy palce walansienką.

N. 13 Krawatka z fijołkowéj materij haftowana jedwabiem i garnirowana koroneczką.

N. 14 Krawatka jedwabna innym kształtem.

N. 15 Rękawek tiulowy naszyty wstawką koronkową i garnirowany koronką.

N. 16 Rękawek półbatystowy z mankietem płóciennym ozdobiony wstawką i koronką odpowiedni do kołnierzyka pod N. 10.

N. 17 Rękawek półbatystowy z mankietem płóciennym obszyty walansienką na trzy palce szeroką. Odpowiedni kołnierzyk pod N. 12.

N. 18 Kołnierzyk tiulowy naszyty wstawką i garnirowany w około koronką.

N. 19 Koszula nocna. Koszule nocne dla kobiet, szyją się prawie tak samo jak koszule męzkie; przednia część ułożona jest w zakładki a plecy przymarszczone o karczka.

N. 20 Imie *Rozalja.*

N. 21 Wzór kołnierzyka płóciennego, który złożony z dwóch klapek na przodzie garnirowanych walansienką, koronka zachodzi na około szyi przyszyta do gładkiego paska.

N. 22 Wzór gorsecika jedwabnego.

N. 23 Naszycie z aksamitek do spódnicy w zmniejszonym formacie, kwiatki w środku haftowane.

N. 24 Kapturek włóczkowy obszyty takąż frendzlą i białym puszkiem koło twarzy.

N. 25 Rękawiczka kortowa z pluszowym mankietem.

N. 26. Rękawiczka kortowa z mankietem wycinanym w zęby. Drugie zęby wszyte są z kolorowéj flanelki téj saméj barwy jak podszewka pod całą rękawiczką.

N. 27 Ekram do zastawienia kominka oprawiony w żelazne malowane ramy. Środek daje się podwyższyć lub zniżyć, do czego służą sztyfty umieszczone u góry i u dołu.

N. 28 Desenik do wyszycia siatki.

N. 29 Bucik aksamitny na futrze z obłożeniem lakierowanem obszyty futerkiem naokoło i przy elastykach z boku.

N. 30 Majtki barchanowe lub perkalowe ze stanikiem dla chłopczyka od 3 do 5 lat.

Opis formy koszuli z karczkiem, koszuli z gładkim wykrojem i przymarszczonéj do batystowéj bufki; oraz szmizetki i klapek do kołnierzyka.

N. 1 Połowa karczka do koszuli damskiéj, którego obwód zastosować trzeba do figury. Miejsca oznaczone punkcikami wskazują wstawkę z walansienki przydzierganą do koszuli; płótno wycina się pod spodem.

N. 2 Połowa rękawa.

N. 3 Druga połowa rękawa.

N. 4 Linja która oznacza koszulę idącą do pleców.

N. 5 Linja wskazująca wykrój koszuli do przodu przy karczku.

N. 6 Całość koszuli powyżéj opisanéj.

N. 7 Połowa dziennéj koszuli. Na długość i szerokość trzeba odpowiednio przypuścić płótna stosownie do wzrostu. Rozporek obrębia się i obszywa falbanką haftowaną, jak wykrój całéj koszuli.

N. 8 Połowa rękawa który się kraje w całości na ramieniu i garniruje u dołu falbanka.

N. 9 Całość koszuli.

N. 10 Połowa pleców szmizetki do kołnierzyka.

N. 11 Połowa przedniéj części szmizetki. Przed wykrojeniem szyją się zakładki lub wszywają wstawki haftowane.

N. 12 Forma koszuli przedstawionéj pod N. 4. Obwód koło ramion trzymać powinien 6 ćwierci i 2 cale, pliska skośna do któréj przymarszcza się koszula a następnie bufka marszczona batystowa ma długości z łokiec, Bufka jest szeroka 1¹/₂ cała. Gładko przyszyta falbanka haftowana około wykroju szeroka cal 1.

N. 13 Połowa klinika do rękawa.
N. 14 Połowa rękawa.
N, 15 Obrębek do koszuli,
N. 17 Forma jednéj części gorsecika jedwabnego który się robi na podszewce z fiszbinami.
N. 17 Forma klapki do kołnierzyka płóciennego.

DONIESIENIA.

MAGAZYN OKRYĆ DAMSKICH
JÓZEFA MATUSZEWSKIEGO
POD FILARAMI

Ulica Miodowa, pałac Dyzmańskich Nr. 497.

Ma zaszczyt donieść iż posiada na każdą porę roku wielki wybór Okryć, Palt. Kaftaników i Bluzek damskich tak z Materjałów Francuzkich jakotéż i krajowych w fasonach najnowszych:



Wszelkie zlecenia Magazyn z akuratnością i pośpiechem załatwia, zaręczając ceny jaknajumiarkowańsze:

Bluzka tybetowa od złp.	25	Palto od złp.	65
„ kaszmirowa „	33	Burno od „	60
„ poult de soie ..	50	Okrycie „	100
Kaftanik syberynowy „	36	Chustka „	40

Kilka set sztuk do wyboru.

ZABAWKA
DLA
DZIECI
z osmioma kolorowanemi rycinami,

wyszła z druku, nakładem Księgarni i Składu nut muzycznych **Józefa Kaufmanna**, przy ulicy Krakowskie-Przedmieście, Nr. 71. Cena złp. 4. Powyższą książeczkę nabyć można w księgarniach na prowincji.

W Redakcji Tygodnika Mód można nabyć:

—*Książkę do nabożeństwa dla wieśniaków*, ułożoną przez Janka z Bielca, z dwoma rycinami, w oprawie mocnéj, ozdobnéj, za złp. 2 gr. 15; kupującym egzemplarzy 10 przesyłka nastąpi kosztem Redakcji.

—*Modlitwę poranną* Janka z Bielca, po zniżonéj cenie,

—*Obrazek Matki Boskiéj Częstochowskiéj*, sztuka gr 3.

—*Alfabet duży i mały* do uczenia liter, arkusz gr. 3 Kupującym za złp. 10 ostatnich trzech wydawnictw, Redakcja takowe kosztem swoim prześle.

KORRESPONDENCJA.

P. Dok. w Dzwonokpolu. Do kościoła P.P. Marjawitek w Częstochowie na wotywę odebraliśmy złp. 6 gr. 20.—Od P. Zofii złp. 66 gr. 20 złożone jako ofiarę na ołtarz Matki Bozkiéj Częstochowskiéj, oraz złp. 33 gr. 10, na ołtarz świętego Józefa w Kościele P. P. Marjawitek odebraliśmy. — P. Ant. Marciń. w Zołotonoszy do prenumeraty dołożyliśmy złp. 5, o zwrot których upraszamy. — P. Kon. Monk. w Starem Bychowie, pozostałe z prenumeraty złp. 1 gr. 20, zachowaliśmy na następne półrocze. — P. Rom. w Pławanie. Prosimy o nadesłanie adresu dokładnego, a żądane numera natychmiast prześlemy.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować rosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się wzór bielizny, staników, i różnych drobiazgów.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 8 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 20 Lutego 1864 roku.

JAN HALIFAX,

POWIEŚĆ M^ss MULLOCH,

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Sewerynę Pruszakową.

(Dalszy ciąg.)

Lord Luxmore zmarszczył brwi. Takie układy, jakkolwiek zwyczajne w owych czasach, bywały jednakże tajemne. Zrozumiał to młody Rawenel, zarumienił się też, usłyszawszy swoje nazwisko.

Brown jest bardzo poczciwy człowiek, ale nieoględny w słowach, rzekł ojciec. Ale racz mi powiedzieć pani Halifax, czybyś pani nie chciała widzieć męża w parlamencie? Musiałby naturalnie zaniechać teraźniejszych swoich czynności, bo stworzony jest, aby błyszczeć na szerokiéj widowni świata! Czy pan przystajesz? mów otwarcie.

— Nie mylordzie, odparł stanowczo Janek.

Lord Luxmore nie wierzył własnym uszom.

— Dziwny z pana człowiek, czy mi wolno zapytać o powód odmówienia?

— Mam ich wiele, ale jeden będzie dostatecznym. Może być, że pragnę wpływu, nawet władzy.... lecz nie uganiam się wcale za wpływem politycznym.

— Mógłby pan łatwo uchronić się tego niebezpiecznego zaszczytu: połowa izby niższéj składa się z ludzi spokojnych, którzy głosują według naszéj woli?

— Nie mogę należyć do ich liczby, mylordzie. Dopóki polityka nie pójdzie w parze z sumieniem, dopóki lud nie będzie mógł wybierać swobodnie reprezentantów swoich, póty ja pozostanę na uboczu.

Lord Luxmore zabawił jeszcze chwilę; mówiono o rzeczach potocznych, wreszcie pożegnał uprzejmie Janka i żonę jego, i oddalił się z synem.

Po ich odejściu, odetchnęliśmy swobodniéj.

— Niewiele zyskał na tych odwiedzinach rzekła Urszula, nieprędko zapewne ujrzemy jakiego lorda pod naszym dachem. Chodźcie na obiad, dzieci.

Lord Luxmore, niemiłe zostawił po sobie wrażenie, które przetrwało do wieczora. Kiedy dzieci poszły spać, siedziałem z Urszulą przy kominie, czekając na Janka: długo jakoś nie przychodził do domu.

— Co to jest, że go nie ma? powtórzyła kilkakrotnie Urszula, nadstawiając ucha na najmniejszy łoskot.

— Otóż i on zawołała, posłyszawszy dzwonek w sieni, w chwilę po tem Janek wszedł do pokoju.

Obecność jego była zawsze dla nas, jakby promieniem światła. Jakiekolwiek mogły być jego kłopoty i mozoły, zostawiał je za progiem; my także na jego widok zapominaliśmy maleńkich domowych przykrości.

— Dobry wieczór wuju Fineas, a dzieci czy zdrowe? Jaki śliczny ogień na kominku! aż miło, bo też wieczór zimny jak w Listopadzie.

— Jeźli Janek ma słabość, to do ognia, rzekła żona z uśmiechem. Prawdziwa z ciebie salamandra.

— Tak jest, rzekł ogrzewając ręce, wolałbym głód niż zimno. Trochę węgli, to jedyny zbytek, jakiego sobie pozwalamy. Dzieci już śpią zapewne?

— Siedziałyby dotąd, gdybym ich gwałtem prawie nie namówiła do spoczynku. Nie mogą się nagadać o Longfield.

— Doprawdy? zapytał patrząc w ogień.

— Janku tyś zmęczony? zapytała żona.

— Cokolwiek.

Odgadłem odrazu, że zaszło coś smutnego: wstałem z krzesła, zbliżyłem się do stołu, na którym leżały niepoprawione kajeta Artura i Edwina. Janek siadł w mojem wielkiem krześle. Zmieniony był i blady; wlepił oczy w rozżarzone węgle i milczał.

Po chwili jednak wyszedł ze stanu osłupienia.

— Cóż ty szyjesz ukochana moja? zapytał biorąc w rękę robotę żony. Jak widzę sukieneczka dla dziecka.

— Matka rodziny nie może chwili popróżnować, odrzekła Urszula. Dziatki nasze rosną dzięki Bogu, raz wraz trzeba im nowych sukienek.

— Prawda, odrzekł Janek z westchnieniem.

— Moje palce wystarczą jednak wszystkiemu, dodała wesoło Urszula. Spieszę się, bo chce przysposobić im ubranie do Longfield.

Janek milczał chwilę.

— Czybys wiele na tem cierpiała kochanko, zapytał, gdybyśmy musieli zaniechać téj podróży?

— Co mówisz? podróży do Longfield?

Te słowa świadczyły, jak jéj przykro było rozstać się z tym zamiarem.

— Kto wié... czy będzie można, rzekł nieśmiało, powiedz, czy ci to wielką sprawi przykrość?

— Tak jest, rzekła otwarcie, nie tyle dla mnie, jak dla dzieci.

— O prawda!

— Biédne dzieci.

Urszula zabrała się znowu do szycia, smutek rozproszył się pomału na jéj twarzy.

— Janku, rzekła, zwracając się do męża, powiedz mi, czemu nie możemy jechać do Longfield?

Opowiedział jéj szczerze, iż poniósł niejakie straty, nie może więc pozwalać sobie żadnych nowych wydatków, potrzebaby nawet, odmówić sobie w domu niejednéj rzeczy.

— Czyś wszystko już powiedział? zapytała ze zwykłą słodyczą

— Wszystko!

— A więc trzeba wymyśléć dzieciom jaką inną przyjemność w miejsce téj, któréj wyrzec się musiemy.

— Wyrzekłbym się wszystkiego na świecie, odparł Janek, wyjąwszy ciebie i drogiéj dziatwy naszéj.

Tak więc zamiar wyjazdu do Longfield, odłożony został do pomyślniejszych czasów.

Janek nie mógł jednak wrócić do zwykłéj spokojności. Nie śmiał on wyznać całéj prawdy, przed żoną, ale interesa jego zatrważający wzięły obrot; Stał tuż nad brzegiem przepaści, w którą mógł za chwilę pogrążyć, nie tylko sam siebie, lecz i tych wszystkich, którzy mu zaufali; poglądał w ogień na pół obłąkanym wzrokiem, nie mogąc pokonać gwałtownego wzruszenia. Urszula udawała, że nie widzi jego stanu, i wstrzymała się od wszelkich uwag. Siedziała zajęta na pozór robotą, kryjąc niepokój w głębi duszy.

— Nie lękaj się o mnie kochanko, rzekł Janek, zdrów jestem, tylko głowa mnie trochę boli.

I oparł zmordowaną głowę na ramieniu Urszuli. Po mału rysy jego przybrały dawny wyraz, i zasnął spokojnie, jak dziécię.

Urszula skinęła na mnie, żebym się nie poruszał z miejsca. Głucha cisza panowała w pokoju; tylko zegar lekkim szmerem znaczył sekundy. Szyła chwilę, wkrótce jednak robota wypadła z jéj ręki, a z oczu spłynęło kilka łez; mimo to, wyraz twarzy okazywał spokojność, myślała o mężu i dzieciach; szczęśliwa żona i matka, nie byłaby oddała, tego błogosławieństwa, jakiem ją Bóg obdarzył za wszystkie świata skarby.

Nagle odgłos dzwonka, rozległ się o głuche ściany domu. Janek zadrżał.

Służący lorda Luxmore, wszedł do pokoju, i oddał list od pana swego.

Janek przeczytał pismo; po chwili oddał je żonie. Urszula krzyknęła z radości.

Dziwnemi drogami Opatrzność, prowadzi człowieka!

List zawarty był w tych słowach.

Do pana Jana Halifax.

Żona pańska, Urszula Marek, doszła właśnie do lat zastrzeżonych testamentem ojca; oznajmiam zatem panu, że od dziś za miesiąc, wypłacę mu kapitał wraz z procentem, jaki jéj przynależy, a który złożony został u mnie, jako u kuratora, w skutek woli ś. p. Henryka Marek.

przyjmij pan... etc.

Ryszard Brithwood.

Lord Luxmore dla własnych widoków skłonił człowieka, równie jak on przewrotnego, do uczynia zadosyć sprawiedliwości. Nastąpiło to właśnie w chwili, kiedy siły Janka, zdawały się zupełnie wyczerpane.

— O Janku, Janku, nie będziesz zmuszzony pracować tak krwawo jak dotąd, zawołała Urszula, tuląc się do niego z uczuciem.

I on głęboko był wzruszony. Niespodziewana ulga, dała mu poznać, jak twarde było jego brzemie, jak straszna ciężała nad nim odpowiedzialność.

— Chwała Bogu, rzekł, cokolwiekbądź nastąpi, jesteś przynajmniéj zabezpieczona wraz z dziecmi.

Usiadł nadzwyczaj blady od wzruszenia. Żona uklękła przy nim.

Wyszedłem cicho z pokoju.

Kiedym powrócił, rozmawiali swobodnie przy kominie. Winszowałem wesoło niespodziewanéj zmiany.

— Tak, odrzekła Urszula, twój brat teraz bogaty, winieneś mu poszanowanie.

— I siostrze twojéj zarówno, wszakże jeszcze młoda i piękna, ślicznie jéj będzie w jedwabnéj popielatéj sukience.

Janku nie żartuj, wstydź się, wszakże jesteś ojcem rodziny, a wkrótce będziesz najbogatszym właścicielem w Enderly.

Spojrzał na mię błagającym wzrokiem.

— Nie prędzéj, odrzekł, aż zabezpieczę twoją i naszych dzieci przyszłość.

— Nie lękam się niczego, kiedy cię mam przy sobie. O Fineas, przekonaj go, że dzień, w którym spełni swe marzenia, będzie najpiękniejszy w życiu mojem.

Rozmawialiśmy jeszcze długo o zmianie, jaka zaszła w naszym losie. Oboje dali mi uczuć w najdelikatniejszy sposób, że wszystko jaki dotąd wspólne będzie pomiędzy nami.

Rozeszliśmy się wkońcu, z sercem dziwnie rozradowanem.

XXIV.

We dwa tygodnie potem przenieśliśmy się do Longfield, gdzie przez lat kilka zamieszkaliśmy stale.

Longfield, drogie Longfield! ciche gniazdko miłości, szczęścia i pokoju, gdzie dziateczki rosły, a my starzeliśmy się sami, nie wiedząc o tem; gdzie każda pora roku szczęśliwą przynosiła zmianę, tak w nas samych, jak w tem, co nas otaczało, gdzie ręka Boskiéj Opatrzności spoczywała nad naszym dachem, błogosławiąc naszéj pracy, i okrywając skronie nasze najcudniejszą koroną miłości wzajemnéj wszystkich członków rodziny. Drogie Longfield, dziś kiedy stanąłem nad brzegiem grobu, czuję jak na twoje wspomnienie, serce moje uderza silnie, jak w młodości.

Była to jednak skromna i maleńka siedziba, kiedyśmy w niéj zamieszkali.... Jakby ją tu opisać?

Prowadziła do niéj z gościńca wązka ścieżka, która spuszczała się na dół ku rzece, a potem znów zwracała ku dworkowi, położonemu na zielonym wzgórku. Dworek był wiejski skromny, złożony z salki, trzech pokoików sypialnych, kuchni i izby czeladniéj; musieliśmy przybudować parę poki przy mleczarni, w których mieszkał Artur z Edwinem. Okna w nich otwarte były przez całe lato, to też ptaki latały tam swobodnie, z wielką radością chłopców. Cieszyło ich to niemniéj, że w piérwszym roku jadaliśmy w kuchni. Gołąbki Edwina, dwie synogarliczki Murjeli, i kury z kurczętami przechadzały się w pośród nas z całą swobodą.

W parę miesięcy, po sprowadzeniu do Longfield, zaszła przygoda, która przerwała błogą jednostajność dni naszych.

Było to w piękny poranek wiosenny; przechadzaliśmy się z panią Halifax i dziećmi nad rzéką, rozmawiając o maleńkiéj stajence, którą Janek miał zbudować dla konia swego. Pomimo otrzymanego majątku oboje małżonkowie nie pozwalali sobie żadnych zbytków. Janek zabezpieczył połowę summy dla żony i dzieci, drugą połowę na usilne prośby Urszuli obrócił na zadzierżawienie wielkiéj fabryki sukna w Enderly, dokąd właśnie pojechał, aby podpisać kontrakt.

Urszula spojrzała na zegarek; mówiliśmy właśnie o Janku, kiedy Artur przybiegł z oznajmieniem, że pojazd czterokonny skręcił od gościńca.

— Kto to być może, zagadnęła Urszula. Trzeba ostrzedz, że ścieżka za wązka na powóz. Mogą nam popsuć drzewka, które Janek dopiero co posadził.

Poszedłem, i z wielkiem podziwieniem mojem poznałem lady Karolinę Brithwood, któréj nie widziałem od lat przeszło dziesięciu. Ubrana była w amazonkę ciemno zieloną sukienną, i w okrągły kapelusz z wielkiemi piórami. Zdawała się bardzo wesoła, a jednak róż i bielidło nie mogły pokryć zmarszczek rysujących się na jéj pięknéj twarzy; w postawie mniéj miała wdzięku, lecz więcéj śmiałości niż dawniéj.

— Czy to Longfield, zapytała. Co widzę? to pan Tletcher.

Podała mi rękę uprzejmie, wysiadła z powozu i poszliśmy razem w stronę rzeki.

Pani Halifax, widząc zawracający powóz, nie myślała wcale o gościach. Trzymała na ręku małego Waltera, drugą prowadziła Artura, który bosemi nogami, chciał koniecznie wnijść w rzeczkę; Edwin najspokojniejszy z trzech chłopców, kopał niedaleko ziemię obok Murjeli.

Lady Karolina klasnęła w obie ręce.

— Brawo! Brawissimo! zawołała, jaki piękny obraz rodziny.

— Lady Karolina! zawołała Ursuula, i zbliżyła się do krewnéj, któréj nie widziała lat tyle. Uczuła w sercu szczerą litość na widok bladéj i zmienionéj twarzy.

— Bardzo dawno, rzekla, nie widziałyśmy się kuzynko.

— O prawda odparla lady Brithwood. Jakich że ty ogromnych masz synów. I ta dziewczynka twoja także. O tak, słyszałam o niéj, biedna mała!

— Pójdźmy do domu, rzekła Urszula, mój mąż pojechał do Enderly, niedługo zapewne powróci.

— Boję się twego męża, może nie będzie rad z moich odwiedzin....

Urszula z uśmiechem powtórzyła zaproszenie, i poszły obie ku dworkowi. Dzieci pośpieszyły za niemi. Zatrzymały się chwilę pod wielkiem drzewem orzechowem, za którem zaczynał się ogród. Urszula ukazała rozległe łąki sięgające do podnó-

ża gór, rysujących się na tle niebieskiéj przestrzeni.

— Prawda, że to piękny widok, rzekł Artur, pociągając za suknią nieznajomą panią.

— Prześliczny, mój mały przyjacielu.

— Na tem wzgórzu po prawéj ręce rosną stare dęby, muszę tam iść z ojcem po obiedzie.

— Lubicie zapewne przechadzać się z ojcem?

— O tak, lubiemy to wszyscy.

I uśmiech szczęścia i wesela duszy ożywił lica dziatek.

Karolina uśmiechnęła się także.

— Ja widzę, rzekła do Urszuli, nie żałujesz wcale żeś poszła za Jana Halifax garbarza.

— Ja miałabym żałować? ja?

— Zawsze mówiłam, że to szlachetny młodzieniec. Ojciec mój toż samo dziś utrzymuje. Co do Wiljama, ten widzi w mężu twoim prawdziwego bohatera.

— Kto? lord Wiljam?

— Tak jest mój młody braciszek, któregoście widzieli w Norton-Bury.

Urszula zapytała potem o krewnego swego Ryszarda.

— Zdaje mi się, że zdrów. Dostał napadu pedogry ze zmartwienia, kiedy był zmuszony oddać wam przynależny kapitał, ale teraz przyszedł już do siebie. Czy twój mąż bardzo na niego zagniewany?

— Bynajmniéj, on nie miał nigdy żalu do pana Brithwood.

— Nie dziwiłabym się, gdyby inaczéj było. Ale oto zbliża się czas wyborów. Ojciec mój pragnie, aby gmina Kingwell, wybrała kogo z naszych przyjaciół. Pan Halifax posiada tam podobno jakąś własność.

— Nie, ta własność należy do pana Tletcher mój mąż zajmuje się nią z tego tytułu.

— Nie tłomacz mi, bo nic się nie znam na interesach, wiem tylko, że ojciec chce, aby nasi mężowie byli w zgodzie.

— Bądź spokojna, mylady, Halifax żyje w zgodzie ze wszystkiemi. Czy ten powód twoich odwiedzin?

— Nie kochanko! przybyłam... ot tak sobie... dla własnéj przyjemnosci. Czy to twoj pokój jadalny? wszakże mnie zaprosisz na obiad?

— Ma się rozumieć, odrzekła Urszula.

Widziałem jednak niepokój na jéj twarzy. Lękała się zapewne, czy Janek rad będzie z tych zaprosin.

Lady Karolina przepędziła więc z nami cały dzień: Artur oprowadzał ją po gospodarstwie, Edwin pokazał jéj swoje gołąbki, Walter przyniósł jéj kwiatek, a wszyscy trzej zaprowadzili ją potem do małego, tygodniowego cielątka, poszła za niemi, i opowiadała ze śmiechem, jak ją niedawno temu przezentowano w Sycylji maleńkiemu królewiczowi, który miał ledwie tydzień.

— Wasze cielątko, daleko ładniejsze od niego, mówiła żartobliwie, Urszulo moja droga, nie uwierzysz, jak mnie nudzi ta dworska etykieta: wolałabym stokroć życie pasterskie, gdyby tylko znaleść Arkadją!

— Jakaż piękniejsza Arkadja, nad życie rodzinne?

— Życie rodzinne! powtórzyła, i twarz jéj przykry przybrała wyraz. Przypomniałem sobie, że mówiono, iż od powrotu z Włoch, Brithwood jak niegdyś ojciec jego, pijany był od rana do wieczora.

— Czy twój mąż zmienił się Urszulu? musi jeszcze młodo wyglądać.

— Mówią, że Janek trochę postarzał, co do mnie wcale tego nie widzę.

— Odzywasz się znów jak pasterka Arkadyjska. A przecież żyjemy w Anglji, tym prawdziwym raju mężów, gdzie sam królewski małżonek, tak świetny daje przykład! Cóż myślicie o księżnéj Galji, wy poczciwe Angielki, zamiłowane w ognisku domowem?

— Niech Bóg ukrzepia jéj siły, aby wśród takiego ucisku i poniżenia, zachowała przynajmniéj własną godność.

— Pytam cię, czy nieszczęśliwa i uciśniona małżonka, może pozostać cnotliwą kobietą?

Pani Halifax, odwracając rozmowę do innego przedmiotu, zapytała, czy lady Karolina ma zamiar pozostać w Anglii?

— Sama jeszcze nie wiem. Ale oziembiło się na dworze, idźmy lepiéj do pokoju.

Podano obiad. Nadzwyczaj był skromny, gdyż nikt z nas nie dbał o wytworne pokarmy, ale choć nam brakło kosztownych sreber i bogatéj zastawy, mieliśmy za to po ojcu ładną porcelanę i cienką bieliznę stołową.

Dzieci otoczyły lady Karolinę w małym gabineciku, który służył im do nauki; Murjela, jak zwykle, siedziała w progu, i bawiła się z gołąbkami, które siadały jéj na głowie i ramionach. Usłyszałem jak rzekła sama do siebie.

— Otóż i ojciec!

(d. c. n.)